

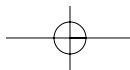
80 CzasKultury 2/2011

# Wagarowicz

Andrzej Niewiadomski

Zawsze traktowałem wagary jako dobry sposób spędzania czasu powszechnie uważanego za porę pracy lub kształcenia. Szczęśliwe położenie wagarowicza polega na tym, że – często niezauważalnie dla niego samego – praca zaczyna wykonywać się podczas tych „błogich” chwil sama, a wiedza wnika wszystkimi porami ciała, nie tylko dzięki czysto intelektualnym operacjom. Oczyszczona z autorytetu instytucji, intymnie przyswajana, może nieco meandryczna, lecz zapadająca głębiej i mocniej. Problemem w dość komfortowej (pod warunkiem posiadania odpowiedniej konstytucji psychicznej) sytuacji wagarowicza jest jeden, jedyny dylemat: jak często to robić, by sama przyjemność oddalenia się od instytucji nie stała się czymś powszednim i banalnym? W końcu należy nabyć także trochę (a może nawet nieco więcej niż trochę) szkolnych i nudnych, lub pozornie nudnych, umiejętności, bez których później ani rusz...

Czy poezja może być instytucją? Ależ oczywiście. W Polsce jest nią od lat ponad 200, bez względu na zakręty historii i zawirowania społeczne. Ba, powiedziałbym, że ostatnimi czasy, wbrew wrazeniu, iż prawie wszyscy, któ-



rzy mają z nią cokolwiek wspólnego, poszli na wagary, stała się w dwójnasób instytucją. Wszak wzrasta w naszym kraju liczba szkół, również tych prywatnych i rośnie, pardon, współczynnik scholaryzacji. Znalazły się pośród tych nowych, „placówek” także szkoły wagarowania, i jakoś niezbyt dobrze się czuję w otoczeniu, w którym lubiany przeze mnie sposób funkcjonowania obarczony został szczegółowymi regulaminami. Nic nie męczy wewnątrznie bardziej niż widok rzeczy i spraw upowszechnionych, i to powszechne błędzenie, kiedy nikt nie wie, jak rozpoznać prawdziwego wagarowicza, ba, może nawet nikt nie próbuje rozpoznawać. Żeby nie było za łatwo (i nie tylko dla zasady komplikowania): czasem męczy, a czasem przynosi ulgę związaną z poczuciem powtórnego uwolnienia.

Leśmian był jednym z najswobodniejszych, zapewne najswobodniejszym wagarowiczem w poezji polskiej. Był wirtuozem wagarowania. Bywał także wewnątrz różnych instytucji, od „Chimery” do PAL-u, lecz śmiem wątpić – choć piśmiennictwo przemawia za tym, że pojawiały się już wówczas przebliski tej świadomości – w to, że zarówno Miriam, jak i ci, co chcieli widzieć Leśmiana w Akademii, wiedzieli, na czym dokładnie polega swoistość jego zamysłów poetyckich. Zresztą, czy można powiedzieć: zamysłów? Ktoś, kto przyzwyczał się do wagarowania, decyzje podejmuje często spontanicznie, i wtedy zaczynają się prawdziwe kłopoty tych, co chcieliby widzieć w wagarowiczu przede wszystkim przedstawiciela szkoły, zdolnego, inteligentnego, na moment zbłąkanego ucznia. Gorzej, gdy ów nie poprzestaje na szkolnym wagarowaniu, gorzej, gdy zaczyna traktować tak – choć przecież bez zbędnej nienawiści – każdą instytucję, w objęcia której pchną go koleje egzystencji.

Piszę to wbrew sobie występującemu często w zupełnie innej roli (choć może nie tak bardzo wbrew, i ten sprzeciw ma wszelkie znamiona, mówiąc po Leśmianowsku, niedowcielenia), lecz muszę przyznać, w imię niepisanego (koniecznie niepisanego) i swobodnie ewoluującego w moich myślach, a pewnie w ogóle nieistniejącego, „kodeksu” wagarowicza, że im dłużej czytam Leśmiana (i znów poprawka: im dłużej czytam Leśmiana), tym mniej wiem o jego poezji, a często wydaje mi się, że nie wiem niczego. Albo też niczego, co pozwoliłoby mi ją naprawdę zrozumieć, bo przecież wygłosić kilka seminaryjnych frazesów to żadna gratka. Ile razy obiecałem sobie mówić o Leśmianie w murach instytucji w sposób zwięzły i uporządkowany, tyle razy łapałem się na tym, że każdy kolejny szczegół otwiera pole (a może łąkę lub las) niekończących się spekulacji i dopowiedzeń, a każde gwałtowne cięcie obnaża boleśnie kalectwo dyskursu i spłyca coś, co takich spłyceń tolerować nie może. Nie zamierzam powiedzieć tu, że poetyckie czy w ogóle pisarskie zastrzeżenie, iż istota poezji jest czymś niepochwytym, powinniśmy uczynić na każdym etapie obowiązującym, tak by w końcu zlikwidować wszelkie instytucje. Nie zamierzam powiedzieć też, że nigdy nie +

poddawałem się jakiemuś porządkowi lub że nie poszukiwałem go tu i ówdzie, wszak wagarowicz nie jest tym samym, co anarchista. Raczej mam na myśli to, że zawodzą w wypadku autora Ballady bezładnej pewne kategorie i pewne standardy interpretacyjne, które rzadko są podważane przy użyciu poważnych racji.

Co to oznacza dla mnie? Nie wiem ciągle, czy Leśmian był poetą genialnym. Wiem, że pozostawił rzeczy arcydziełne, ale wiem też, że całość jego twórczości składa się z rzeczy nierównych, i kiedy myślę, że jednak poetą genialnym nie był, oddycham z ulgą, bo wolę tych z kilkoma arcydziełami. Nie wiem też, czy był poetą nowoczesnym, choć ostatnimi czasy zwykło się tak uważać. Ale wciąż nie przekonuje mnie praktyka wydobywania ze zbiorów Leśmiana pojedynczych tekstów, jakie mają nas do tego ostatecznie przekonać. Myślę wówczas, że był to autor bardzo niekonsekwentny, sprzeczny wewnętrznie i że każda rekonstrukcja Całości skazana jest na porażkę. Nie tylko dawanie wrażenia Całości, ale i eksponowanie zasadniczych elementów ją budujących obarczone jest sporym ryzykiem. Toteż myślę, że Leśmian był poetą nowoczesnym i nie był... Albo inaczej: bywał często poetą nowoczesnym – i chronologia niewiele wnosi do takich rozważań. Kolejną bowiem rzeczą, jakiej nie wiem, jest kwestia domniemanej ewolucji Leśmiana, a może domniemanej stabilności wewnętrznej, nienaruszonej przez żadne zewnętrzne rewolucje ani autorytet instytucji. Tak można byłoby długo jeszcze: nie wiem zbyt wielu rzeczy o Leśmianie, bym mógł zaryzykować jakieś ostateczne i wyraziste tezy.

No i dobrze, być może dzięki temu zachowuję w głowie tę poezję jako pewien punkt odniesienia. Ale czy inspirację? Proszę wybaczyć ten ton, mogący sugerować jakąś równorzędność czy równoległość, lecz tak to wypada powiedzieć: czegoż nauczyć się może wagarowicz od wagarowicza? Techniki wagarowania? Ależ nie, to zupełnie niemożliwe! W końcu Leśmian uciekał z innej szkoły, a ja z innej. Zupełnie odmiennych rzeczy nas tam uczono i ani nie mógłbym ściągać z jego zeszytów, ani też śledzić jego ścieżek w leśnych gęstwinach, parkach, łąkach, nad stawami i między kwiatami. Może więc wiąże mnie z Leśmianem sama idea wagarowania? Niekoniecznie, bo przecież poeta oburzyłby się chyba, słysząc słowo „idea”, i choć kult wagarów zamienionych na instytucję (albo uporczywie zamienianych) jest mi obcy, to jednak, z odrobiny szacunku, nie narażałbym go na takie nieprzyjemne wystąpienia. Może lepiej użyć określenia „praktyka wagarowania”, lecz zastrzec wyraźnie, że słowo „praktyka” nie niesie ze sobą refleksji na temat technicznych aspektów wiersza. Nie sądzę, bym kiedykolwiek posługiwał się Leśmianowskimi chwytami, choć przecież kiedyś poeta – wymieniony z nazwiska – pojawił się w Niebylcu wraz zaleceniem jego czytania, co jednak nie powinno narzucać żadnych ryzykownych analogii. Albowiem te techniki, reprodukowane po-

wtórnie, przynoszą raczej mikre efekty, każdy musi znajdować inne miejsca, każdy musi mieć swoje kryjówki wagarowicza.

Do czego zatem potrzebna mi była (jest) lektura wierszy Leśmiana? Poruszam się w ciemnościach, ale powoli i z rozmysłem mówię: potrzebna była mi zapewne do tego, bym pojął swój status wagarowicza. Po to, bym nie poczuł się z nim źle, skoro może dawać on takie dobre efekty. Po to, by wiedzieć, że tożsamość jest niemal zawsze pozorna i że nawet wszedłszy na tę samą ścieżkę, co nieznani poprzednicy, widzi się i czuje coś zupełnie innego. To znaczy, że jednak Leśmian mnie czegoś nauczył – nie ucząc. To znaczy, że wagarując, nie tyle nieświadomie powtarzamy gesty innych „uciekierów” od instytucji, ile nadajemy tym gestom, nieznacznie czasem przesuwając akcenty, kształt innych, chwilowych struktur, wyłaniających się ze świata, w którym jesteśmy utopieni, dziwiąc się jednocześnie, że wyglądają tak, a nie inaczej. Zatem nie technika ani nie idea. Coś innego jest mi bliskie: Leśmianowski świat zdziwień i pytań, wahań, wątpliwości i niekonsekwencji, łagodzonych czasem wyraźnie, lecz nigdy nieustających. A najbardziej tych wszystkich zdziwień, pytań, wahań i niekonsekwencji, jakie się wiążą z elementami skomplikowanej układanki rzeczywistości, w której wszystko jest wymienne, metamorficzne, bluszczowate, ale nigdy tak dalece (tak zdaje się sugerować Leśmian), byśmy nie mieli nieco nostalgicznej i nieco konserwatywnej ciągoty do „światopoglądu” – choćby jawił się on nam za sprawą poety w tak enigmatycznej postaci, jaką jest rytm.

Przyjrzyjmy się zatem tej kwestii, podobieństwa zawsze są zdradliwe, a przecież, owszem, dlaczego miałbym nie dzielić słynnego Leśmianowskiego „rytm to światopogląd”? Ale każdy rytm jest inny, inny jest wewnętrzny impuls i inny jest odbiór tego, co zewnętrzne. Dla Leśmiana emanacją rytmu był śpiew-poezja. I gdyby nawet tej śpiewności nie akceptować, bo przecież poeta zaproponował taki punkt widzenia, zanim język stał się podporą instytucji poezji (przynajmniej poezji pisanej w języku polskim), to przecież warto pamiętać o innych wcieleniach rytmu, choć nie wiemy, i nie chcemy się zdawać na gdybanie, co sam Leśmian sądziłby na przykład o „nieśpiewnej muzyczności”. Dałaby się postrzegać jako część „rytmu” czy też nie? Ale jeszcze bardziej, z mojego punktu widzenia, interesująca wydaje się wątpliwość, czy taką częścią mogłaby się stać niemuzyczna muzyczność. Wszak to bardzo leśmianowski koncept, choć pułapka na tego poetę wątpliwa. Nie w tym jednak rzecz, by zastawiać pułapki, problem polega na tym, że – wszystko na to wskazuje – nie da się wskazać miejsca w poezji wagarowiczów, od którego coś przestaje być z ducha Leśmiana, a coś innego tego ducha w sobie przechowuje.

Rytm, głos to zresztą za mało, otwórzmy wybory Leśmiana na pierwszych stronach Sadu rozstajnego i przeczytajmy: „widzę poprzez śpiew”. Także +

## 84 CzasKultury 2/2011

widzenie ma tu coś do rzeczy? Ma, bo przecież wagarowicza wzywa nie tylko jakaś niezmierną pulsacją, ale również wzrok odgrywa kluczową rolę... Ale w tym samym wierszu poeta zaznacza: „staw widzi inaczej niż my”. To znaczy: lepiej czy gorzej? A może wyłącznie „inaczej”? Widzieć poprzez śpiew, zdaje się – nie tylko tu – mówić Leśmian, to widzieć najdoskonalej, ale kto powiedział, że staw nie widzi jeszcze lepiej? Nie ma żadnej pewności co do tego, bo antropologia twórcy Napoju cieniściego raz jest sprawą prymarną, a innym razem podporządkowana zostaje spontaniczności natury i doświadczenia. Tak, dla mnie jako wagarowicza widzenie odgrywa istotną rolę, po to wybieram się poza granice instytucji, by widzieć lepiej. Ale ileż razy powierzałem to widzenie przedmiotom. Czy miałem wówczas świadomość, że zrobił to Leśmian? I jak zrobił to Leśmian? A może to w większym stopniu kwestia intuicji niż trzeźwej świadomości?

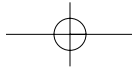
W końcu, kiedy czytamy Leśmiana, nie wiemy, od czego właściwie zależy intensywność widzenia. I komu jest przyporządkowane to, które dociera do istoty. Rzeczom, naturze, ludziom? Jeśli staw widzi inaczej (w domyśle: lepiej), to dlaczego gdzie indziej wodzie nie dane jest spojrzenie, lecz tylko spojrzystość? I czym jest taka poezja, w której używamy wyłącznie ust bez oczu? Kiedy znamy słowa, a nut nie pamiętamy? Ślepotą jako akceptowalny stan poezji? – to także możliwe w tych wierszach. A czasem trzeba i odwrócić oczy, i uciszyć śpiew. Problem polega na tym, że nie wiemy kiedy, i Leśmian nam tego nie wyjaśnia, widzenie jest u niego do tego stopnia dynamiczne, byśmy nie mogli szukać żadnej recepty na jego modulację. Jakże mogłoby być zresztą inaczej, skoro sam poeta zaznacza, że niebo „samo chcąc” płynie przez jego oczy? Może nie jest to więc kwestia jakiegokolwiek strategii, ale pewnej wierności rytmowi, o jakim nic naprawdę nie wiemy, poddając się swojej, nie do końca „wypracowanej”, dyscyplinie?

Jest jeszcze jedna, ważna dla mnie, może najważniejsza, cecha widzenia Leśmianowskiego: wszakże oczy nie widzą rzeczy jednej, bo ich głębia od dawna „zaproszona jest” przez „splątane zieloności zwoje”. Przyglądać się, jak w tych wierszach układają się owe zwoje, to rzecz fascynująca, choć nie ma w sobie niczego pożytecznego, bo to trochę tak, jakby się na wagarach ułożyć w miłym otoczeniu i gapić bez końca, może nawet (niestety) nieco bezmyślnie, bezwiednie gapić się w dość przypadkowe konfiguracje kształtów. Ale ten niekończący się świat czasem się zapada, czasem ogród traci „alej zawiłość i szumów ponętę” (swoją drogą: jak ważne w moich przypadkach wagarowicza były wszelkiego rodzaju szumy, które chciało się raz precyzyjnie uchwycić, a innym razem stać się jakąś ich częścią), zmierza w stronę jakiegoś nieciekawego bagniska, jakiejś katastrofy, która się nie dokonuje, dokonać się ostatecznie nie może, bo Leśmian widzi bezmiar jako zawiłość, i tu w braku strategii strategia się pojawia... Nie tylko zmienność

jest gęstwą, ale i otchłan, i nawet – jak w Panu Błyszczczyńskim – jeśli coś ma się „roznicestwić”, to przecież „liściasto”. Nic nie ginie, a i mnie się tak wydaje, nie ma innej możliwości, skoro otchłan, nawet ta bezdomna, usilnie zmierza do tego, by przybrać jakiś kształt, dopasować rzeczy „do swojego bezmiaru”. Czasem mam wrażenie, że poeta usiłuje w ten sposób oszukiwać samego siebie, ale czyż tego rodzaju oszukaństwa nie są działaniem, bez którego nie sposób się obejść? Bo jak stanąć wobec „czystej” otchłani, wszak nie da się odrzucić tego, co stworzone. Można nie nadawać mu imienia, ale mieć świadomość jego kształtu, używać słów i nie nadawać imienia. Leśmianowi się to chyba udało i od czasu do czasu jeszcze się komuś innemu na wagarach udaje. Dlatego rozumiem – by już nie rozbudowywać (rozlistwiać i rozkrzewiać) spraw widzenia – kiedy w Napoju cienistym poeta pisze, że: „Nie widać nic, a – widać”.

Tak czy inaczej, to właśnie widzenie jest obszarem, gdzie Leśmianowska zmienność i niekonkluzywność ujawnia się najpełniej, ale też wielość, wariantowość. Wagarować tak, by się to nie znudziło; niby te same ścieżki, te same szczeliny w płotach, te same wróble, chwasty, maliny i pejzaże, a jednak nie tylko małe niespodzianki mogą nas czekać na trasie tej włóczęgi.

Dzięki tym niespodziankom Leśmian podtrzymuje mnie na duchu: widzę bowiem czasem niewcielonego do końca i zarazem wiecznego ducha wagarów u innych, kiedy w ich działania poetyckie wkrada się jego „pieśń mimowolna”. Nie trzeba przecież wchodzić w ich świat głęboko, aż do utożsamienia, by to zauważyć. To w dużej mierze kwestia przypadku, a nic nie cieszy tak jak szczęśliwy przypadek. Nie uczyłem się więc od Leśmiana, tylko takie fortunne zderzenia i zdarzenia uświadamiały mi, że istnieją nie-prawidłowości wagarowania. A właściwie inaczej, istnieją „święta na uboczu”, pełne szumów i zapomnienia, i kiedy w Powieści o rozumnej dziewczynie natknąłem się na tę formułę, pomyślałem sobie, że mógłby to być gotowy tytuł, bo przecież takie święta są czymś, czego – świadomie czy nieświadomie? – szukam. Natura tych „świąt” nie daje mi spokoju, choć, powtarzam to po raz kolejny, muszą to być nieco inne święta niż w tamtych wierszach. Ale wciąż wystawione na sprzeczności, co nie jest już kwestią rozmysłu. Wszak u Leśmiana dziewczyna „rozumie” w puencie każdego z utworów cyklu, ale już w innym wierszu z tego samego tomu pojawia się jakaś postać, która mówi: „Lecz rozumiem, że nie trzeba nic rozumieć...”. Tak sobie myślę o zmiennych kolejach losu i o tym, że Leśmian mógłby przecież stać się sztandarową postacią „poezji niezrozumiałej”. Ale wyszło inaczej i stał się przedmiotem uczonych rozpraw. W żadnej z nich jednak nie znalazłem rozstrzygnięcia kwestii rozumienia. Trzeba rozumieć czy nie? Nie tylko to chciałbym wiedzieć. Chciałbym wiedzieć na przykład, czy w puencie wiersza Pośpiech, kiedy pada pytanie: „Wy mnie rozumiecie?” – jest to pytanie zadane przez poetę czy przez +

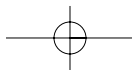


Boga? A może przez nich dwóch jednocześnie? Może przez jednego przejmującego na chwilę rolę drugiego? I czy jest to pytanie retoryczne? I jakie „wy” jest tu istotne? Może jest to jedno z najbardziej dramatycznych pytań zadanych w świecie Leśmianowskiej twórczości, choć tyle dałoby się znaleźć innych, równie ciekawych.

A skoro już mowa o Bogu, to warto byłoby też sprawdzić, jak to z nim jest, mimo że to i owo napisano na ten temat. Wagarowicz wszak inaczej kontaktuje się z absolutem, nie mówiąc o stworzeniach, jakie w hierarchii bytów sytuują się na niższych szczeblach. Miał Rilke swoje anioły, ale Leśmianowskie są zupełnie inne, Leśmian zabrał je chyba ze sobą na węgry, by jednak nie poprzestać na takim stwierdzeniu, trzeba powiedzieć, że to właśnie owe anioły z Sadu rozstajnego ujawniają (choć pewnie nie tylko one) pewną cechę, o której nie zapominam w świecie, w którym bawimy się ogłaszaniem kolejnych nieobecności. Że można nadać cielesny wymiar i bolesny wymiar także stanom niewiary i że zachodzi dziwne sprzężenie pomiędzy nimi a „pokłonnością” i „wiernością” pieśni.

Można też pozazdrościć Leśmianowi umiejętności pisania o tym, czego nie ma, ale ja raczej ulegam wezwaniu do kochania tego, co umarłe, i uważam, że tu Leśmian chadzał nawet pod prąd ucieczek. Bo tu nic nie podlega anihilacji, i być może poeta zdawał sobie sprawę, że umieranie będzie tak powszechnym zajęciem i tak powszechną fascynacją przez następne 100 lat, że z góry ujawnił jego formułę znacznie bardziej atrakcyjną niż powtarzanie lamentów. Jeśli miałem do niego jakieś pretensje, to zazwyczaj wiązały się one z tym, że niemal nigdy nie włączał on do tego misterium „ponętne nietrwanie” rzeczy i spraw będących na wyciągnięcie ręki, nazywanych aktualnymi, ale teraz rozumiem ten tryb postępowania. Rozumiem, choć żałuję, że nie było inaczej. Ale też otwiera to dla nas nowe możliwości wagarowania.

Z Leśmianem jest trochę tak w mojej percepcji, że ile razy otwieram jego zbiór, tyle razy trafiam na coś niepokojącego. I można by tak jeszcze długo, znacznie dłużej, wskazywać. Rzecz w tym, że nie potrafię powiedzieć, jak się to przekłada na moją praktykę poetycką. Ba, jestem pewien, że nie przekłada się w sposób bezpośredni. Tak jak powiedziałem: inna szkoła i inne ucieczki. Proszę uwierzyć, prawie na chybił trafił otwieram najnowszą edycję Poezji zebranych i czytam w Pogodzie: „Trzeba nic nie mieć prawdziwie, / Żyć tylko tym, że się żyje, / By dłoń wyciągać łapczywie / Po takie szczęście niczyje!”. I ta prosta puenta też mnie niepokoi, może dlatego, że nie wiem, jak przetłumaczyć ją na mój rytm, bo jakoś drażni mnie przy tym jej staroświeckość i pociąga zarazem, ale nie to przede wszystkim: bardziej fascynuje mnie to bogactwo nieposiadania, a potem myślę o innych wagarowiczach, którym ta puenta byłaby bardzo bliska, i już nie wiem, czyją jest własnością. Może jest



tak, że Leśmian, jakby wbrew temu powszechnemu przekonaniu o oryginalności i niepowtarzalności jego dokonań (a może wcale nie wbrew), posiada specyficzną zdolność do „roznicestwiania się” pośród innych poetów? Może te wszystkie sny Leśmianowskie rozpostarły swój parasol nad późniejszymi poetami i w jakiś tajemniczy sposób przenikają do ich wierszy? Całkiem prawdopodobne, choć pewnie nie wypada posługiwać się dziś taką manierą, ale jakże inaczej tłumaczyć tę dziwną półobecność?

Jak zatem widzę Leśmiana w swoim świecie? „Jak sen, co śnić się nie chce, a śni się wbrew chceniu”. Chyba tak właśnie. Był on mistrzem podobnych formuł zaprzeczonych, i jeśli sobie czasem sam na taką pozwolę, to także dlatego, że nie jestem w stanie Leśmianowi zaprzeczyć, kiedy gdzie indziej pisze o „ciągłej” i „koniecznej” styczności myśli logicznej z tym, co nielogiczne jako o warunku najpierwszym wszelkiego widzenia. Widzę go też jako autora Snu, którego czasem męczą wędrówki wagarowicza i w którego rękach lub oczach wszystko zaczyna znikać prócz własnego pokoju we wszechświecie, bo przecież z tych wagarów nie wraca się już w mury instytucji. Zamknąć drzwi to dla tego poety akt desperacji, lecz bez takich aktów czy nie było zbyt prosto? Wszystko, co znika w Śnie, jest wątpliwe, ale przy tym konkretne, nawet „mogiła nieba”, i trzeba najpierw odślonić logikę/nielogiczność owego procesu, by móc się przenieść w inną rzeczywistość, nie najbardziej komfortową: ze wszechświata do świata. A raczej, bo ten Leśmianowski „wszechświat” nieco mylący jest i zbyt ogólny w dzisiejszym odbiorze, z bezmiaru do świata miar. Wagarowicz zawsze będzie miał wątpliwość, czy w takim wypadku czyni dobrze.

Piszę o tym wszystkim, mając w pamięci jeden z tych długich dni, kiedy sam udałem się na węgry. I zamiast wracać z jednej instytucji do drugiej, między innymi po to, by wygłaszać sądy o twórczości Leśmiana, co do których nie byłem pewien, czy mogą być precyzyjne i uporządkowane, udałem się o jesiennej porze do Ilży, po to, by wejść w rzeczywistość Leśmiana i poczuć ją przez skórę... Ha, oczywiście, że z rozpędu trochę zmyślam, trochę kłamię, trochę koloryzuję. Przecież pojechałem tam w zupełnie innym celu. Nieważne jakim. Ale z tym pobytem wiąże się wiersz, z którego zaczerpnąłem myśl o wagarowaniu i o którym – jak Leśmian – mogę powiedzieć, że najpierw był on, a potem namysł nad nim. Niepozorny, a przytaczam go w nie do końca wiadomym celu. Wiem tylko tyle, że myślę teraz o meandrach obecności. Rzecz nosi tytuł Dora. Październik:

Ciepła ciemność w mieście znikliwych poetów.  
Obłoki niosą wilgoć, ziemia zajęła się  
kolorami języków, malin, nieistniejących  
chrustów, liści w paszczy żarłocznego ognia.

+



## 88 CzasKultury 2/2011

Tyle katastrof, cichego mrużenia, pętle  
na niebie, rozkurzu. Kilkunastoletni  
Olivier mówi: „Doda to by chyba mnie  
zajeżdżała”. Wiśniowe bączki i żółdkowe  
gorzkie są puste, szkło nie odróżnia się  
od plastiku, nawet kamienie świecą  
znikomością, wagary, wagary, ciemne  
ciepło nie poszło do szkoły, umarli  
poeci – jak zwykle – nie są na swoim  
miejscu. To co butwieje – śpiewa, tak wolno  
postępuje ten proces. Reklamy kwitną  
i tynki, krople ciał nie gaszą pożaru  
i rozprzestrzenia się raj duszny, pawany,  
senne ewy, krzyże, kozy i wiechcie,  
nieskończoność umarła i śmieje się  
zza grobu, ciepła ciemność w mieście, w kropki  
ciała, o nieznanym raj, siostrze u wód  
płomiennych

Czy jest to wiersz „leśmianowski”? Bardzo wątpię. Czy myślałem o jakimkolwiek utworze Leśmiana, gdy on powstawał? Nie. Czy zawiera w sobie jakiegokolwiek chwyt, które można byłoby uznać za ślad znajomości „poetyki” Leśmiana? Nie sądzę. Czy Leśmian posługiwał się kalamburami? Chyba bardzo rzadko. Czy zamiana jednej głoski, jednej litery świadczy o tym, że zważowałem gdzieś na zupełne peryferie? Czy można mieć obrazoburczy stosunek także do wagarowania? Nieprzyzwoite było udzielanie właśnie przeze mnie odpowiedzi na te wszystkie pytania i już samo to przytoczenie wiersza wydaje mi się jakimś przekroczeniem. A może ja jednak odpowiedziałem już na te pytania? Po co więc jeszcze mowa wiązana? Wy mnie rozumiecie? Mam nadzieję, że trochę – tak, a trochę – nie. ○